

wojsk sowieckich miał dokonywać zniszczeń torów kolejowych. Jako dziecko miałem do niego zawsze pretensję, że nie walczył w mundurze, tylko w jakiś tam "bandach". Potem doszedłem do wniosku, że to dla celów wojny była jednak bardzo pożyteczna działalność. Chodziło przecież o transporty z zaopatrzeniem bolszewickim - wtedy tę wojnę nazywano polsko-bolszewicką - o wykonanie zamachów na pociągi, akcji na tory kolejowe. A potem, w czasie odwrotu wojsk sowieckich spod Warszawy, udaremniiono wywożenie zrabowanego majątku polskiego i wycofanie oddziałów sowieckich do Rosji.

W POLSCE NIEPODLEGŁEJ

Wychowywałem się w domu patriotycznym. Jeden z pradziadków - żadnego z nich już nie znałem - był w Powstaniu Styczniowym, za co zabrano mu jakiś mały mająteczek pod Białymstokiem. Ale to właściwie traktowałem jako legendę, bo wtedy, kiedy mogłem się dowiedzieć, nigdy mnie to nie interesowało. Były inne sprawy, dużo ważniejsze... Pamiętam, że jako młody chłopiec, jako dziecko wysłuchiwałem opowiadań ojca, po jego powrotach z pracy - pracował jako kolejarz, więc czasami długo go nie było, ale jak wracał do domu, to brał mnie na kolana i opowiadał mi swoje i swoich kolegów przeżycia wojenne. I tak dowiadywałem się od niego trochę historii Polski, podobnie jak od moich ciotek, które też były bardzo patriotyczne. Matka była zbyt zajęta gospodarowaniem, nie miała dla mnie zbyt dużo czasu - a miałem jeszcze starszego brata i siostrę. Dlatego może kontakt z matką nie był tak bliski jak z ojcem.

Wtedy nastrój wśród moich rówieśników był bardzo patriotyczny. Pamiętam taki szczegół: bawiliśmy się kiedyś na podwórku, naraz któryś z chłopców przybiegł z okrzykiem: "powstaniec styczniowy jest na Rynku Kościuszki". Zostawiliśmy całą naszą zabawę i pobieśliśmy te 1,5-2 kilometry do Rynku. A tam siedział powstaniec styczniowy z długą białą brodą... Był to ojciec znajomej mojej siostry, wiedziałem o nim wcześniej. otoczyliśmy go, szliśmy razem z nim. Zatrzymał się, byliśmy zbyt onieśmieleni, aby o cokolwiek go zapytać, ale on sam powiedział do nas: "no chłopcy, mamy wolną Polskę, rośnijcie zdrowo...". Bardzo byliśmy uszczęśliwieni, że on w ogóle cokolwiek do nas powiedział. Odprowadziliśmy go aż prawie do domu. Potem także widywaliśmy go, ale wtedy, pierwszym razem był w mundurze, takim, jaki nosili powstańcy styczniowi, był w rogatywce, miał stopień podporucznika. To było moje pierwsze spotkanie z takim właśnie, umundurowanym powstańcem. Potem, już dorastając, chodziłem na defilady wojskowe. Czasami dziwiłem się, po co byli wojskowi maszerują za wojskiem, skoro w nim już nie są - a jest takie piękne wojsko? To byli ci, którzy kiedyś służyli w Legionach, a teraz maszerowali w swoich starych mundurach. Uważałem wtedy, że skoro Polska jest już wolna, to po co przypominać tamte smutne czasy, kiedy byliśmy w niewoli? Potem oczywiście doszedłem do innego wniosku...

Szkoła powszechna do której chodziłem była położona na peryferiach miasta. Nie było w niej zbyt dużo dzieci pochodzenia inteligenckiego. Właśnie w tej szkole - byłem wtedy w szóstej klasie - dowiedziałem się od kolegi, który był w drużynie harcerskiej w innej szkole, że ich drużyna mogłaby nas przyjąć - u nas nie było harcerstwa. Było nas trzech, ich drużynowy przyjął nas do swojej drużyny. Zanim opuściłem moją szkołę, spowodowałem, że powstała tam własna drużyna. Jej część - jeden pluton - prowadziłem będąc jeszcze w szkole powszechnej. Później zresztą, kiedy uczyłem się już w szkole handlowej, w dalszym ciągu tę drużynę (13 druzyna im. A. Małkowskiego) prowadziłem. Następnie przeniesiono mnie do drużyny, która działała przy ośrodku ewangelickim w Białymstoku - teraz tam jest kościół św. Wojciecha. W drużynie tej było dużo Niemców - w ogóle była to szkoła pomyślana jako szkoła z wykładowym językiem niemieckim, z czasem to uległo zmianie i niemiecki był tylko jednym z języków obcych, ale uczyło się w niej jeszcze bardzo dużo Niemców. Tam rozpocząłem od zastępu, a potem zostałem drużynowym. Niektórzy z moich chłopców nawet słabo mówili po polsku, ale ja, jako drużynowy, wychowywałem ich właściwie na Polaków. Jednak większość z nich po zajęciu miasta przez wojska sowieckie wyniosła się razem z Niemcami - w 1939 roku przez krótki czas Białystok zajęty był przez wojska niemieckie...

Byłem wtedy przybocznym w lotniczej drużynie skautów. Była to 6 drużyna skautów im. Bolesława Chrobrego. Należeliśmy do takiego dużego szczebu przy szkole nr 1 w Białymstoku. W drużynie tej mieliśmy w 1939 roku 9 skoczków spadochronowych i 15 pilotów szybowcowych. Sam skończyłem teoretyczny kurs szybowcowy i miałem - latem 1939 - jechać na kurs spadochronowy. Zabrakło jednak oboźnego na obozie w 6 drużynie harcerzy, której drużynowym był Zdzisław Kołodziejski i zaproponował mi on, bym podjął się tej roli. Kołodziejski był moim przyjacielem, poznaliśmy się na kursie drużynowych w Porzeczu nad Jeziorem Białym. Jeszcze po tym trzytygodniowym obozie wybrałem się razem z nim na pieszą wędrowkę po Jeziorach Augustowskich. Wyruszył z nami jeszcze jeden nasz kolega, także drużynowy, Tadeusz Kamiński. Później był on ostatnim komendantem Szarych Szeregów Chorągwi Białostockiej, został zamordowany w 1944 przez NKWD w Baranowiczach, podczas II-ej okupacji Białegostoku przez Sowiety. Mówię o tej podróży także dlatego, bo tym terenem mojej ostatniej wędrowki po wolnej Polsce był rejon, gdzie leżą Giby, miejsce mordu żołnierzy AK przez NKWD.

Po powrocie do Białegostoku okazało się, że mój brać - też instruktor harcerski - po powrocie z kursu drużynowych, który prowadził - zastał w domu kartę powołania i jako pochorąży rezerwy kawalerii już wyjechał do I pułku ułanów. Natomiast ja zostałem powiadomiony, że tworzy się pogotowie harcerskie, które ma pełnić służbę na wypadek ewentualnej mobilizacji przy wybuchu wojny. Rozpoczęliśmy naszą służbę około 20 sierpnia.

PRZECIW NIEMCOM

Na terenie szkoły nr 1, tuż przy Zarządzie Miasta, mieściła się komenda tego pogotowia. [Września pamiętam doskonale. Miałem praktykę w sklepie kolonialnym przy ul. Żwirki-Wigury, wychodziłem o godz. 7-ej rano z domu i nad ulicą zobaczyłem bardzo nisko lecący bombowiec, na którym bez trudu dostrzegłem czarne krzyże. Nie słyszałem wybuchów. Potem dowiedziałem się, że była bombardowana stacja kolejowa. Oczywiście na praktykę już nie poszedłem, zabrałem mundur i pobiegłem na miejsce naszych spotkań. Komendantem pogotowia harcnerskiego był podharcemistrz Marian Dakowicz - kiedyś był on drużynowym 2 Drużyny w Białymstoku, potem studiował na Uniwersytecie Stefana Batorego.

Od razu ogłoszona została mobilizacja i rozpoczęliśmy wysyłanie patroli harcnerskich do obsadzenia różnych punktów w mieście. Dowiedzieliśmy się m.in., że stacja kolejowa została zbombardowana, nie ma tam żadnego personelu i potrzebni są ludzie. Poszedł tam jeden zastęp, który pomógł w usuwaniu skutków bombardowania. Wiedzieliśmy, że jest wojna i liczyliśmy, że - ponieważ jesteśmy już w takim wieku (ja miałem 19 lat) - prawdopodobnie wkrótce zostaniemy powołani do jakiejś poważniejszej służby. Może nawet z bronią w rękę? Tak się zresztą stało z drużynowym naszej drużyny lotniczej, który dostał powołanie do lotnictwa. Był to Bolesław Niziński, który potem zginął śmiercią lotnika - jego nazwisko jest na Pomniku Lotników pod Londynem. Wyjechał on, ale po kilku dniach wrócił, mówiąc, że Siedlce, przez które miał przejeżdżać, były tak zbombardowane, że dopiero wtedy zrozumiał, co to jest wojna. Myśmy oczywiście jeszcze wtedy nie wiedzieli dokładnie, na czym wojna polega. Służbę naszą pełniliśmy głównie w ciągu dnia. Oczywiście na noc zostawały służby specjalne, ale większość z nas stawała się rano i cały dzień była do dyspozycji.

Pełniliśmy tę służbę do 10 września. Tego dnia nasz hufcowy dowiedział się od oficera placu, że komendant obrony miasta nie ma już żadnych oddziałów do walki, (potem jednak Białystok był broniony), Niemcy zbliżają się i on radzi nam, żebyśmy najstarszych chłopców zabrali i wyjechali na wschód, w kierunku na Wołkowysk, gdzie był ośrodek kawalerii nr 3, który przygotowuje nowe pulki kawalerii na front. W ciągu wieczora zdecydowaliśmy, że bierzemy wszystkich chłopców powyżej 15 lat i że każdy ma przyjść z rowerem. W ten sposób powstała dość duża kolumna kilkudziesięciu chłopców. W nocy wyjechalibyśmy z miasta. Po drodze wypatrzył nas jakiś lotnik niemiecki i zostaliśmy zbombardowani. Było to w okolicy Brzeźnicy Białostockiej. Na szczęście, nie odnieśliśmy żadnych strat i skończyło się tylko na strachu. Po dotarciu do Wołkowyska, zgłosiliśmy się do komendy placu - a wszyscy byliśmy w mundurach harcnerskich. Oficer, który nas tam przyjmował, chwycił się za głowę: "Po co oni was tu przysłali? My nie mamy wystarczającej liczby mundurów, aby ubrać rezerwistów, a wy jesteście prawie nadzy..." W końcu obiecał, że znajdzie nam jakieś zajęcie. Rozlokowano nas w domach prywatnych

w Wolkowysku. Wyjeżdżaliśmy na patrole, trójkami. Nie było uzbrojenia dla nas wszystkich, ale zawsze komendant patrolu miał broń. Chodziło głównie o to, żeby wypatrzeć - tam były takie płaskie pola - czy na tych polach nie ma prób lądowania niemieckich samolotów. Po tygodniu naszego tam pobytu - było to chyba 16 września - zjawił się nasz komendant chorągwi hm Stanisław Łopatecki, wcześniej zmobilizowany do wojska (pracował w biurze cenzury wojskowej - był sędzią z zawodu). Po rozmowie z komendantem placu doszedł do wniosku, że trzeba nas odesłać gdzieś na południe Polski, gdzie może będą większe możliwości umundurowania nas czy nawet wcielenia do jakiś oddziałów. Cała nasza grupa załadowała się do pociągu i pojechaliśmy w kierunku na Baranowicze. W nocy pociąg był bombardowany, ale o 7-ej rano dojechaliśmy do miasta. Pierwszy spotkany człowiek, Żyd, powiedział nam, że Polski już nie ma... Na nasze zapytanie: dlaczego?, odpowiedział, że na stacji już nikogo nie ma, a od wschodu idą bolszewicy. Rzeczywiście na dworcu nie mogliśmy nikogo znaleźć: policja i wojsko już stamtąd odeszły. Nasz komendant zdecydował, że idziemy do najbliższego, większego ośrodka, który będzie się jeszcze bronił. Doszliśmy do wniosku, że takim miejscem napewno będzie Wilno. Pojechaliśmy - cała ta kolumna kolarzy - na Nowogródek. Koło południa (17 września) dojechaliśmy do Świtezi.. Spotkaliśmy tam kilka oddziałów wojskowych, które zatrzymały się na odpoczynek. Byliśmy tam krótko. Pierwsza grupa - nieświadoma bliskości Sowieców - zdążyła przejechać przez Nowogródek; my natomiast dojechaliśmy tam w momencie, gdy czołgi sowieckie wjechały na rynek, odcinając nam w ten sposób dalszą drogę. Okoliczni Polacy ostrzegli nas i poradzili, abyśmy się rozproszyli i wracali do swoich domów. Mówili, że wszystkich, którzy są w mundurach bolszewicy aresztują. Ostatecznie, zostaliśmy w Nowogródku chyba przez cały tydzień, u miejscowej ludności. Nie widząc żadnych możliwości dalszego działania doszliśmy do wniosku, że należy małymi grupami próbować wracać do domu. Wróciliśmy do miasta w dwa dni po wyjściu wojsk niemieckich. Kiedy przyjechaliśmy była noc. Wrażenie było niesamowite: na skrzyżowaniach ulic zobaczyliśmy karabiny maszynowe z sowiecką obsługą. Od razu - i zupełnie - zmienił się charakter miasta... Ponieważ nie byliśmy w mundurach, nikt nas nie zaczął i nie zatrzymywał. Wróciłem do domu i to był koniec mojej "podróży" wojennej...]

PRZECIWIW ROSJI

Panował nastrój ogromnego przygnębienia. Wielu ludzi aresztowano, w rodzinach panował zupełnie grobowy nastrój. Spotykaliśmy się ze sobą, szukaliśmy pracy, każdy się musiał jakoś urządzić. W naszym domu ciągle byli jacyś uciekinierzy z Warszawy, z zachodu, albo tacy, którzy ze wschodu chcieli iść na zachód. Ludzie spali na podłodze, na dostawianych łózkach i na ogół ludzi było zawsze więcej niż jedzenia. Była nawet taka grupa ludzi z pewną panią, mającą wielki złoty krzyż na piersi. Mieszkała

ona u nas parę dni, potem wyjechała do Lwowa i pewnego dnia przyszedł stamtąd "Czerwony Sztandar", w którym na zdjęciu zespołu redakcyjnego ta pani występowała już bez krzyża... My oczywiście w naszym domu przyjmowaliśmy wszystkich, bez względu na wyznanie i narodowość. Jeśli nie było już miejsca u nas szukaliśmy u znajomych.

Władze sowieckie od razu poszukiwały ludzi, którzy chcieliby z nimi współpracować. Znajdowały takowych najczęściej spośród Żydów. W naszym mieście stanowili oni, jeżeli nie większość, to na pewno około połowy ludności. Nie można tak jednak powiedzieć o wszystkich. Wielu narażało się raczej na "nieprzyjemności" ze strony okupantów. Czuli się oni po prostu Polakami. Oczywiście, mówi się o nich mniej niż o tych, którzy poszli do milicji albo wydawali znajomych Polaków.

Milicja była tworzona z elementów lokalnych pod komendą sowieckich oficerów. Pierwsze dni - zanim się człowiek zorientował o co chodzi - były regulowane ogłoszeniami, plakatami informującymi o nowych warunkach. Harcerskim systemem alarmowym dowiedziałem się, że komendant Chorągwi, sędzia hm S.Łopatecki zarządził odprawę starszych drużynowych i instruktorów, którzy byli jeszcze w mieście. Miała się ona odbyć w lokalu przy ulicy Nadrzecznej. Kiedy się tam zjawiliśmy, okazało się, że jest on opieczętowany. Zaczekaliśmy na schodach, komendant przyszedł i powiedział nam, byśmy nie brali się za konspirację, gdyż najważniejszym celem jest przetrwać tę wojnę, która będzie prawdopodobnie długa - a wróg nasz jest chytry, bezwzględny i nie uda się nam z nim żadna walka. Nie ma po temu żadnych szans...

Wychodziliśmy dwójkami. Ja wyszedłem z komendantem pogotowia harcerskiego, podharcemistrzem Marianem Dakowiczem. Po przejściu paru kroków, obaj równocześnie zapytaliśmy: "No to kiedy zaczynamy?". Postanowiliśmy utworzyć tajny hufiec harcerski z harcerzy do których będziemy mieli zaufanie, nie wtajemniczając w to ówczesnego hufcowego - był nim podharcemistrz Bogdan Zidik. Miał on później wielki żal do mnie, żeśmy go tak potraktowali, chociaż zrobiliśmy tak nie ze względu na brak zaufania do niego, tylko ze względów bezpieczeństwa. Nie mieliśmy większego doświadczenia w konspiracji, ale mieliśmy takich ludzi, którzy mieli większą praktykę. Mianowicie był taki student Politechniki Warszawskiej - Picciul który udzielał nam rad. Powiedział m.in. "Musicie przyjąć, że każdy aresztowany w końcu się przyzna - policja bije i można się wtedy do wszystkiego przyznać. Im mniej człowiek wie, tym lepiej". Te pierwsze jego rady były dla nas bardzo pożyteczne. Tworzyliśmy male, trzyposobowe zastępy, ja zorganizowałem pierwszy. Moimi zastępowymi byli: Jan Gadkowski (zmarł w 1987 roku w Krakowie), Marian Łukaszewicz (razem ze mną aresztowany i wywieziony do Rosji, wrócił z armią Berlinga, też już nie żyje), trzeci - Janusz Podkowski - był wywieziony w pierwszych wywózkach, w lutym 1940 roku, i dzięki temu nie był nigdy aresztowany, potem w 2 Korpusie, teraz mieszka w Londynie.

Trzech młodych chłopców przyjęto do tajnego hufca, dostali zadanie zorganizowania zastępów. Równocześnie szukaliśmy jakiegoś kontaktu

z władzami harcerskimi, bo nie mogliśmy sobie wyobrazić, aby harcerstwo pozostawało biernie wobec tego, co się stało. Wierzyliśmy, że napewno istnieje jakaś Główna Kwatera, która działa. W związku z tym w końcu października 1939 roku wyjechałem do Warszawy, przechodząc linię graniczną koło Malkinii. Zatrzymałem się u mojego wuja, mieszkającego na Pradze i potem przez dwa dni szukałem kontaktu. Nie było to łatwe: albo ci ludzie nie wrócili, jeszcze z wojny, albo ich domy były rozbite przez bomby.

1 listopada 1939 wyjechałem z Warszawy. Gdy dojechałem do Malkinii, było już ciemno, padał deszcz. Tam od razu Niemcy segregowali pasażerów, oddzielając od reszty ludność żydowską. Zatrzymywano ich na stacji, rewidowano, nie wiem czy coś im zabierano. Odszedłem od razu na bok. Pamiętam też, że na dworcu w Warszawie, zanim jeszcze pociąg ruszył, Niemcy biegali po pociągu i wyrzucali wszystkich Żydów do wagonu bagażowego. Widziałem więc, jak będą wyglądały rządy niemieckie. W Malkinii wysiadłem i dalej poszedłem pieszo, według trasy wcześniej opracowanej. Idąc wzdłuż granicy natrafiłem na grupę ludzi. Okazało się, że była to grupa adwokatów wraz z rodzinami z Łodzi. Byli to Żydzi, którzy uciekali na stronę sowiecką, licząc, że tam będzie im lepiej. Zapytałem ich, co tu robią; odpowiedzieli, że nie wiedzą gdzie dalej iść. Zgodziłem się ich przeprowadzić i ostatecznie udało się nam jakoś przejść. Słyszeliśmy strzały, ale one nas nie dosięgły. Po dojeździe do torów kolejowych prowadzących z Białegostoku do Warszawy wiedziałem, że przeszliśmy już granicę. Niektórzy z moich towarzyszy podróży padali na kolana i całowali ziemię. Wielu z nich później prawdopodobnie zginęło na Syberii, bo uciekinierów także sowieckie władze wywoziły.

W SZARYCH SZEREGACH

Po powrocie, po kilku dniach, spotkałem się z moim przełożonym, Dakowiczem i dowiedziałem się, że wtedy, kiedy ja byłem w Warszawie, to przyszedł stamtąd kurier, instruktor harcerski (do dzisiaj nie wiem jak on się nazywał). Przyjął on ślubowanie szaroszeregowe od komendanta chorągwi, którym został harcmistrz Gabriel Pietraszewski. Był przez kilka miesięcy komendantem Chorągwi, ale potem znikł i nigdy nie udało mi się trafić na jego trop.

Rozpoczęliśmy formowanie naszych drużyn. Członkowie składali ślubowanie Szarych Szeregów. Kończyło się ono, trochę inaczej niż dotychczasowe Przyrzeczenie Harcerskie: "...nie zawahać się przed ofiarą życia". Mieliśmy w Hufcu 3 drużyny i próbowaliśmy rozpracować dalsze możliwości organizacji. Wtedy wyznaczono mnie na łącznika do komendy ZWZ. Moją łączniczką w ZWZ była p. Zofia Borkowska, polonistka w gimnazjum. Nie składałem przysięgi żołnierskiej ponieważ złożyłem ślubowanie "szaroszeregowe". Pani Zofia (jej bratem był major Dunin-Borkowski, ostatni chyba kwatermistrz 3 Dywizji Strzelców Karpackich) mieszkała wraz z matką przy ul. Artyleryjskiej - tam przychodziłem

po informację. Z tamtej strony informacje przychodziły przez inną nauczycielkę, p. Zofię Radomską, która po stracie swojego mieszkania mieszkała razem z nami. Pracowały one obie w tej samej szkole. Chyba w początkach stycznia 1940 roku dostaliśmy zadanie, że mamy wytypować harcerzy do szkoły podchorążych. Polecono mi stworzyć pluton takiej szkoły podchorążych. Instruktorami i komendantem mieli tam być byli harcerze. Pierwszy instruktor podchorąży artylerii, Marian Neyman, który miał objąć funkcję ściśle wojskową - nigdy się nie zjawił. Spotkałem go dopiero chyba w Iraku, w Drugim Korpusie. Okazało się, że pracował jako maszynista kolejowy i spowodował wykolejenie 2 pociągów transportujących żołnierzy sowieckich, za co został aresztowany... Nawet nie wiedział, że miał być u nas. Ponieważ instruktor nie zjawił się, postanowiłem sam ułożyć jakiś program. Zrobiłem to na podstawie "Podręcznika dowódcy plutonu strzeleckiego" i rozpoczęliśmy normalne wojskowe zajęcia. Mieliśmy trzy drużyny chłopców powyżej 17 lat.

W marcu 1940 roku zawiadomiono mnie, że mam się zjawić w mieszkaniu komendanta Chorągwi, p. Pietraszewskiego. Kiedy przyszedłem były tam jeszcze dwie osoby, z których jedną był pan z Warszawy, który leżąc przeprowadzał z nami odprawę. Nie wiedziałem wtedy, że jest on ciężko chory. Powiedziano mi, że jest to wysłannik Głównej Kwatery Szarych Szeregów z uprawnieniami Naczelnika Harcerzy, że jedzie do Wilna, a za 2 dni mam go zaprowadzić do Grodna czyli blisko granicy republiki białoruskiej i litewskiej. W Grodnie przejmą go i pojedzie dalej. Na odprawie powiedział pokrótce, w jaki sposób powstały Szare Szeregi i ustalał porządek na wypadek aresztowania kogoś z nas: powinna nastąpić zmiana komendanta Chorągwi. Miałem 20 lat, byłem na trzecim miejscu... Pomyślałem sobie, że jak do mnie dojdzie, będzie już dawno po wojnie. Okazało się, że ta rotacja przebiegała dużo, dużo szybciej.

Po tej odprawie przygotowałem się do podróży, odebrałem od niego pas z pieniędzmi i wzięłem dokumenty, a ponieważ już miałem jakieś zaświadczenie (dowód osobisty), mogłem się poruszać po tej "republice białoruskiej". Miałem większe szanse niż wysłannik z Warszawy, ponieważ on nie miał żadnego dokumentu. Przyszliśmy na dworzec kolejowy tuż przed odjazdem pociągu. W czasie podróży nie mogliśmy w ogóle rozmawiać, ponieważ w przedziale jechali wracający z kursów milicyjnych chłopcy z pobliskich wsi, ubrani w nowe sowieckie mundury. Byli to przeważnie Białorusini. Przed zmrokiem dojechaliśmy do Grodna. Nie znałem adresu, pod jaki miał dojść mój towarzysz podróży, ale on wiedział gdzie idziemy. Weszliśmy do kamienicy, na 2 piętro, zadzwoniliśmy do drzwi. Otworzyła nam jakaś Pani, która na widok wysłannika Głównej Kwatery, krzyknęła do męża: "Pan Domański!". W tym momencie dowiedziałem się, jak się nazywa mój współpodróżnik. Pani ta oczywiście nie wiedziała, że obowiązuje jakaś konspiracja... Był to więc harcistrz Lechosław Domański, który w "Kamieniach na szaniec" został uwieczniony jako "Zeus". Po krótkiej chwili pożegnałem się, bo chciałem jeszcze tego samego dnia wrócić do domu. To było nasze ostatnie

spotkanie. Potem, od różnych osób dowiedziałem się, że on również trafił do więzienia. Aresztowano go przy przekraczaniu granicy litewsko-białoruskiej - do Wilna nie dojechał. A jechał tam do harcmistrza Wiktora Szeryńskiego, który jest obecnie profesorem medycyny na Uniwersytecie w Ottawie. Tak więc miałem styczność z człowiekiem, który był jednym z założycieli Szarych Szeregów.

Brałem udział w "wyborach na zachodniej Białorusi". Postanowiliśmy wypisywać na tych kartkach różne hasła. Nie wiem czy to było mądre czy nie, ale i tak nie miało znaczenia. Chodziło tylko o to, aby dać wyraz naszym uczuciom.

Oczywiście, ludzie byli przestraszeni - co chwilę wśród znajomych i przyjaciół ktoś zniknął i wiadomo było, za czym to się działo przyczyną. Po wywózkach zimowych (luty 1940 - dop.R.Cz.) wiedzieliśmy, czego się możemy spodziewać. Ale nie poddawaliśmy się i próbowaliśmy przez odpowiednią lekturę poznać przeciwnika...

W maju chodziliśmy regularnie na nabożeństwa majowe - kościół był pelen. Była to nasza demonstracja oporu.

Trzeba było jednak z czegoś żyć i mieć swobodę ruchu. Aby ją mieć zapisałem się do Instytutu Handlowego. Po pierwszych egzaminach wezwano mnie i dyrektor oświadczył, że ponieważ mam bardzo dobre wyniki, chcę mnie skierować na studia do Leningradu lub Moskwy. W tym czasie moją matkę przejechał sowiecki samochód wojskowy, leżała cała w gipsie - miałem więc okazję podziękować za propozycję. Oczywiście sugerowano mi, żebym się zapisał do Komsomolu. Sam dyrektor, który rozmawiał ze mną po polsku, powiedział, że w roku 1939 był szpiegiem sowieckim w Polsce - przyjechał do nas z Mińska. Propozycję pozostawił otwartą. A ja w międzyczasie zostałem jeszcze hufcowym, tak więc swoboda poruszania się jaką stwarzała mi szkoła, była dla mnie bardzo ważna.

W Instytucie Handlowym wypłacano mi 75 rubli miesięcznie jako stypendium, co mi wystarczało na podstawowe potrzeby. Żeby mieć pieniądze na jakieś wyjazdy itp., sprzedawałem ubrania mojego brata i ojca - było to jedyne dodatkowe źródło pieniędzy. O tym, że w ogóle istnieli zawodowi działacze konspiracji to wówczas nie wiedziałem.

w czerwcu 1940 roku Dakowicz, który objął Chorągiew (ja zostałem jego zastępcą w Białymstoku) zawiadomił mnie, że on również został ostrzeżony i musi myśleć o wyjeździe (pracował wtedy w fabryce dykty)). Po tygodniu przekazał mi Chorągiew. Przeorganizowałem hufiec, stworzyłem dwa rejony: wschód - zachód - w każdym było po trzy drużyny. Będąc komendantem Chorągwi byłem jednocześnie dowódcą mego plutonu w szkole podchorążych - szkoły, do której żaden instruktor wojskowy ciągle nie mógł dotrzeć. Jako komendant Chorągwi, próbowałem wizytować podległy mi teren. Dotarłem do wielu miejscowości m.in. do Łap; okazało się, że większość Polaków została już wywieziona. Drużyna Szarych Szeregów przestała istnieć. Podobnie było w innych miejscowościach. Tak więc cała nasza organizacja musiała tworzyć się od

podstaw. Wiedziałem, że będzie to ciężka praca. Był czerwiec 1940 roku, czas inwazji Niemiec na Francję... W Białymstoku, na Rynku Kościuszki sowieciarze wybudowali wielką mapę i na tej mapie zaznaczali postępy niemieckie. Jak upadł Paryż, to - myślę - był to najgorszy dzień okupacji: mój i moich kolegów. Trudno powiedzieć, żeśmy całkiem stracili wiarę, ale straciliśmy wiarę w szybkie rozwiązanie naszej sprawy. W tym dniu prawie płakaliśmy, myśląc co będzie dalej, co z naszym rządem... Ale na odprawie z drużynowymi orzekliśmy wtedy, że trzeba naszym chłopcom, a także rodzinom dodać ducha, żeby ludzie nie tracili nadziei, żeby nie myśleli, że wszystko już stracone, że można wszystko zostawić. Przeciwnie - mówiliśmy - trzeba zwiększyć wysiłki. Ale był to bardzo przygnębiający moment naszej pracy. Nawet nie spodziewałem się, że tak to nas dotknie. Tak, jak cieszyliśmy się z dobrych wyników Finów w czasie wojny fińskiej, to potem bardzo dotkliwie odczuliśmy porażkę na froncie francuskim. Z Francją wiązały się całe nasze nadzieje. Nie wiedzieliśmy wówczas, jak się rozwiąże ta sytuacja, że jeszcze nie wszystko stracone, że pozostanie Anglia, z którą związane będą losy polskiego wojska do końca wojny.

W wakacje roku 1940 wyznaczono mnie na praktykę do "uniwersytetu" przy ul. Piłsudskiego - wtedy oczywiście nazywała się już inaczej - i tam miałem nauczyć się handlu sowieckiego... Polegało to na tym, że np. do tego sklepu przywożono cukier, pracownicy oczywiście zawiadamiali swoich znajomych, aby jak najszybciej się zjawili... Od czasu do czasu kierownika takiego "uniwersytetu" zamykano, bo wszyscy próbowali coś ukraść, a on za to odpowiadał. To był ten "handel państwowy". Oczywiście najchętniej niczego w sklepie nie było.

W SOWIECKIM WIĘZIENIU

Któregoś dnia zachorowałem, byłem w domu i wtedy zjawił się jakiś młody człowiek, o którym wspominał Domański, że przekraczając granicę miał przewożnika, który dotrze do nas, jeśli go nie zamkną. Proszę zwrócić uwagę, że to było w marcu, a on zjawił się w lipcu. Ponieważ znał hasło i chciał się zobaczyć z Dakowiczem - podałem mu adres (poszedł do niego sam ponieważ ja leżałem w łóżku). To prawdopodobnie było przyczyną naszego aresztowania. Nie powiedział nam, że niedawno wyszedł z więzienia - tymczasem agenci za nim chodzili.

17 lipca 1940 roku - był to dzień wolny od pracy, przyjechał do mnie woźny z Instytutu i powiedział, że jestem proszony przez dyrektora. Niczego nie przeczuwając, bez namysłu pojechałem rowerem. Dyrektor rozmawiał z mną po rosyjsku, przypomniał mi naszą pierwszą rozmowę. Naraz gdzieś zatelefonował. Potem dalej rozmawialiśmy. Krytykowałem ten nowy handel, mówiłem, że niczego nie ma. Tłumaczył mi, że to dlatego iż tutejsi ludzie nie umieją, nie chcą dobrze pracować. Ale, że jak to się zmieni, to wszystkiego będzie tak dużo jak w Sowietach. W tym momencie otworzyły się drzwi i zobaczyłem jednego w cywilu, za nim stało

5 mundurowych. Dyrektor powiedział: "to jest właśnie ten". Cywil zapytał czy ja się nazywam Kaczorowski? Po odpowiedzi twierdzącej, powiedział, że chce ze mną porozmawiać, ale nie tutaj. Odpowiedziałem, że nie mogę nigdzie pojechać bo mama czeka na mnie. Usłyszałem, że to długo nie potrwa. Widząc ludzi w mundurach nie miałem żadnych wątpliwości o co chodzi. Wyszliśmy z budynku, nikogo nie było, pomyślałem, że nawet nie mam jak zawiadomić co się stało. Przez dziedziniec eskortował mnie ten młody człowiek w cywilnym ubraniu, jakiś oficer straży granicznej i 4 żołnierzy w niebieskich czapkach NKWD. Poszliśmy do dużego czarnego samochodu, obok mnie usiadło 2 żołnierzy, z przodu siedział cywil. Nie jechaliśmy przez miasto, ale drogą okrężną przez Zwierzyniec, park, las. Ulice były puste, a siedziałem tak, że byłoby mnie widać, gdyby ktoś szedł. Samochód, którym mnie wiezono, "Zis", duża limuzyna był większy od londyńskich taksówek. Tą pustą ulicą w Zwierzyńcu, wzdłuż boiska sportowego szła właśnie p. Borkowska - moja łączniczka. Próbowałem przesunąć się tak, aby mnie zauważyła, ale nie wiem czy to mi się udało. Przyjechaliśmy do siedziby NKWD, dawna Polska Izba Skarbowa. Tam zaczęli "rozmowę". Pytali, gdzie są moi koledzy. powiedziałem, że niektórzy nie wrócili z wojny, "innych wywieźliście na Sybir", a nowych kolegów jeszcze nie mam, bu zacząłem naukę w nowej szkole i nikogo dobrze nie znam. Gdy przesłuchujący wyszedł z pokoju, podszedłem do okna i zobaczyłem, że to III piętro. Okno można otworzyć, ale na dole stoją żołnierze. Siedziałem sam ok. godziny, być może w jakiś sposób w ukryciu mnie obserwowali. Po powrocie, przesłuchujący, mjr Butusow zaczął mnie wypytywać, czy należałem w Polsce do jakichś organizacji. "Należałem do harcerstwa" - powiedziałem. Wtedy zapytał o kolegów z harcerstwa, oczywiście nie odpowiedziałem po jego myśli. Gdzieś koło północy zadał pytanie, po którym zorientowałem się o co chodzi: zapytał, co wiem o Szarych Szeregach? Udawałem, że nie wiem, o co chodzi. Trwało to mniej więcej do trzeciej nad ranem. Śledczy obiecywał, że jak powiem wszystko, co wiem, to zaraz mnie wypuszczą... O godzinie 3-ej zaprowadzili mnie do jakiejś piwnicy. Cykl taki trwał przez trzy dni. W końcu zapytałem czy jestem aresztowany? Odpowiedział, że "zatrzymany". Zapytałem więc, jak długo mogą mnie tak trzymać? - "48 godzin". Wtedy powiedziałem, że już się ten czas kończy. Od tego momentu przestałem odpowiadać na pytania i zażądałem nakazu aresztowania. Wówczas mój sędzia śledczy - jak mi się przedstawił - "pogromca Polaków" - powiedział, że bawić się z nami nie będą. Tym, którzy będą z nimi współpracować dadzą "takie" możliwości... - ale tych co nie będą - to "pod ziemię"... Cały czas mówił oczywiście po rosyjsku. Na trzeci dzień otrzymałem do podpisania nakaz aresztowania i przewieźli mnie do więzienia. [W więzieniu białostockim byłem do września 1940 roku.]

O widzeniach z rodziną nie było mowy. Oczywiście, rodzina szukała mnie, ale oni do niczego się nie przyznali. Jednocześnie przeprowadzili rewizję w domu. Rozwalili kominy, wszystko poprzewracali - nic nie

znaleźli. Wieczorem tego samego dnia, matka, nakrywając do kolacji otworzyła szufladę w kredensie, patrzy - a tam amunicja... Zemdlała, o tym dowiedziałem się w 1957 roku, kiedy matka odwiedziła mnie w Londynie. Była to wtedy rzeczywiście duża nieostrożność z mojej strony, ale dzień wcześniej wieczorem przyniosłem tę amunicję z zajęć i nie zdążyłem ukryć.

[Siedziałem w 2-osobowej celi, w której przebywało 7 osób. Stamtąd zabierano nas na przesłuchania. Któregos dnia przyszedł major w mundurze i powiedział, że ponieważ ich dobrotliwe rozmowy nie dają rezultatów, to wyślą mnie do więzienia do Mińska - a tam już wszystko ze mnie wydobędą... krwią i potem. Tak też którejs nocy uczyniono.] W pociągu zamknięto mnie w przedziale więziennym, dwuosobowym, gdzie były trzy osoby. Drugim więzionym był Dakowicz, a trzecim Napoleon Kłosowski, malarz który potem był w Londynie. Ten przez całą drogę płakał, że go niewinnie aresztowano... Uspokajaliśmy go, aż w końcu zasnął, a myśmy mogli wreszcie spokojnie porozmawiać. Ustaliliśmy pewne daty i inne szczegóły, przydatne nam w dalszym śledztwie. Trochę to później pomogło. To, że razem jechaliśmy, było chyba jakimś niedopatrzaniem ze strony organów.

[W Mińsku śledztwo trwało jeszcze do końca listopada 1940 roku. W grudniu poinformowano mnie, że będę miał proces.]

W czasie przesłuchań bito mnie, choć muszę przyznać, że mnie nie bardzo męczyli w przeciwieństwie do mego kolegi, Włodka Ruszkowskiego, którego katowano w niemilosierny sposób. On też miał wyrok śmierci. Podczas śledztwa zapytano mnie czy mieliśmy powielacz. Odpowiedziałem, że nie. Cały czas jednak pytali, co ja zrobiłem z powielaczem. Wówczas właśnie używano "perswazji", tak że w końcu napisałem w ubikacji do Dakowicza - mieliśmy umówiony sposób porozumiewania się - "co zrobić z powielaczem?". Na drugi dzień była odpowiedź: "oddaj mnie". Tak też zrobiłem: powiedziałem w śledztwie, że nie miałem powielacza, ale skoro pytają co z nim zrobiłem, to odpowiadam, że dałem go Dakowiczowi. Prowadzący śledztwo natomiast mówili, że Ruszkowski twierdzi, że to ja miałem powielacz. Zażądałem konfrontacji - i pewnego dnia do niej doszło. Wprowadzili mnie do pokoju, gdzie było 4 oficerów NKWD i mój kolega, który siedzi, przywiązany do krzesła. Wchodzę, a on woła: "słuchaj, oni mnie tak katują, że ja się do wszystkiego przyznaję. Nie jestem w stanie wytrzymać"... Ja się tylko roześmiałem i zapytałem oficerów, co on powiedział. Od tego czasu całkiem zmieniła się metoda ich postępowania. Ale ja ciągle im przypominałem, że to oni kłamią i torturują ludzi. [Akt oskarżenia spisano na 9 stronach. To ciekawa historia, bo akt ten oskarżonemu jedynie pokazują - po czym go zabierają. Mnie się udało przewieźć go na Kolumę, ale tam się spalili jako papierek do papierosów moich kolegów współwięźniów. 29 stycznia 1941 zabrano mnie z celi.]

Głównym punktem aktu oskarżenia była działalność podziemna przeciwko "państwu sowieckiemu". W konkluzji stwierdzono: "dążył siłą do obalenia systemu i zagrażał bezpieczeństwu państwa sowieckiego".

29 stycznia 1941 roku na dworze było nieprawdopodobnie zimno, ubrany byłem w samą koszulę, w spodnie pod kolana i jakieś resztki pantofli na gołych nogach. Wsadzili mnie do ciężarówki, w której były takie "przedzialiki" dla więźniów. Na zewnątrz było ok. -40°C - dygotałem na całym ciele. Dojechaliśmy do Mińska, okazało się, że jesteśmy na jakimś dziedzińcu więziennym. Zaprowadzono mnie do jakichś drzwi, za którymi - gdy się otwały - był jasny korytarz wysłany dywanami... Żołnierz, który mnie tam prowadził - sierżant NKWD - był uzbrojony. Doprowadzili mnie do drzwi, na których była tabliczka: "Minister spraw wewnętrznych Białoruskiej SR". Myślałem, że to jakaś pomyłka... Oficer zapukał, weszliśmy do ogromnego gabinetu z olbrzymim biurkiem, za którym siedział jakiś człowieczek w szarej marynarce. Na ścianach portrety "wodzów rewolucji": Marks, Engels, Lenin, Stalin. Na środku pokoju stało krzesło przeznaczone dla mnie. Pan zza biurka, w wieku ok. 40 lat, poprosił, bym usiadł. Zapytał, czy zdaję sobie sprawę, za co jestem aresztowany? Odpowiedziałem, że nie. Zdziwił się. Wyjaśniłem, że zostałem aresztowany w swoim własnym kraju i przywieziono mnie tutaj, gdzie nie jestem już u siebie. Mówiłem po polsku - on rozumiał. Ja - mówiłem - dalej - nie rozumiem, dlaczego tak się stało. Odpowiedział: *"dlatego, że przygotowywałeś powstanie przeciwko Związкови Sowieckiemu. Ale popatrz, jaka powstała sytuacja; zdajesz sobie sprawę, jacy my jesteśmy potężni, a was kilkunastu chciało nas rozbić, obalić..."*. Powiedziałem, że nie mieliśmy takich planów i że to nie my przyjechaliśmy do nich, tylko oni do nas. Zapytał wtedy, czy to ja mówiłem w czasie śledztwa, że wkrótce będzie wojna sowiecko-niemiecka i dlaczego tak sądzę? Odpowiedziałem, że jest to dla mnie oczywisty rezultat ich współpracy. Wyjaśnił, że Sowiety są w bardzo dobrej współpracy z Niemcami i napewno wojny nie będzie, a ja się myślę, gdyż porządek w Europie został zaprowadzony i potrwa długie lata. Powiedziałem, że myśmy wcale takiej wojny nie planowali, tylko, że ona wynika z tego co się stało przedtem i że Hitler jest ich największym wrogiem oraz, że kiedyś na nich napadnie. *"Zalóżmy, że tak się stanie - ppowiedział - to po której stronie ty byś wtedy stanął?"*. *"Proszę pana - mówię - ja jestem pańskim więźniem, a pan mi zadaje pytanie, na które ja nic nie mogę odpowiedzieć. Jak pan może pytać kogoś, kto jest w pańskich rękach?"*

Potem rozmawialiśmy o różnych sprawach, np. jak to się w Polsce przed wojną działo... Potem wyciągnął kartkę i zaczął czytać: to było ślubowanie Szarych Szeregów. Zapytał, czy to znam. *"Nie rozumiem, co pan czyta"* - odpowiedziałem (rozmowa przebiegała w języku rosyjskim, chociaż niektóre słowa wypowiadał - niepoprawnie - po polsku.). Stwierdziłem, że słyszę to pierwszy raz. *"Podobno w harcerstwie uczono was, by mówić prawdę"* - powiedział wtedy. *"Naturalnie, ale je nie powiedziałem tu nic, co byłoby nieprawdą..."* Cała rozmowa była dla mnie o tyle przyjemna, że prowadzona była w ciepłym, obszernym pomieszczeniu... Na koniec poinformował mnie, że za dwa dni będzie mój proces. Pierwszy raz dowiedziałem się o terminie rozprawy sądowej, przedtem

nikt mnie o niczym nie informował. I był to chyba jedyny wypadek, żeby ministerstwo spraw wewnętrznych było w tym samym budynku, co więzienie.

ŻYĆ Z WYROKIEM ŚMIERCI

31 sierpnia 1941 roku zawieziono mnie do sądu. Eskortowało mnie 15 żołnierzy NKWD. Nota bene, żołnierz, który mnie pilnował na ławie oskarżonych miał dziurawe buty - była to ładna konfrontacja "potęgi Związku Sowieckiego" z rzeczywistością i zacząłem się śmiać. Tuż przed rozprawą zjawił się jakiś niepozorny człowiek mówiąc, że jest adwokatem z Mińska, naszym obrońcą z urzędu. Ze sprawą nie zdążył się cokolwiek zapoznać, ale to nic, bo on ma duże doświadczenie w takich sprawach. Przyszła też tłumaczka, która powiedziała nam, abyśmy nie zapominali, że ona nie jest adwokatem, tylko tłumaczka: "proszę się do mnie o nic innego nie zwracać". Mówiła zresztą bardzo ładnie po polsku i tłumaczyła nam dokładnie to, co mówiono. Trzyosobowy sąd przedstawił się jako "Sąd Najwyższy Białoruskiej Republiki Sowieckiej". Zapytano, czy są jakieś obiekcje co do tego, że on będzie nas sądził? Wtedy najmłodszy z nas, Marian Łukaszewicz - miał wówczas chyba 17 lat, nawet nie wiedziałem, że jest aresztowany i włączony do naszej sprawy (w której 4 z nas było w Szarych Szeregach, a 2 zupełnie nie było z Szarymi Szeregami związanych) - wstał i powiedział, że jest obywatelem Polski. "Zostałem przewieziony tu, do obcego kraju, siłą i odmawiam wam prawa sądownictwa mnie...". Ja sam byłem zawstydzony, oszołomiony, że o tyle młodszy ode mnie chłopak jest tak dzielny. Przewodniczący sądu oświadczył, że sąd udaje się na naradę. Po powrocie oddalono oczywiście "pretensje" oskarżonego i sąd uznał się za uprawnionego do prowadzenia sprawy. Zabrał głos prokurator, który w jaskrawy sposób przedstawił nasze plany obalenia systemu sowieckiego i zagrożenia pokojowi ZSRR. Za to wszystko odpowiadałaby "krew bojów Armii Czerwonej"... Żądał kary śmierci dla trzech z nas, czyli dla Dakowicza, dla mnie i dla Zygmunta Śmigielskiego, który był w jakimś "Legionie śmierci" - powstawały wówczas różne organizacje konspiracyjne i on należał do jednej z nich. Przyznał się do wszystkiego i całą mocą wypierał przynależności do jakichś Szarych Szeregów. Tragiczna postać - umierał na galopujące suchoty, gdy ja wyjeżdżałem z Kołymy

Potem, pod wieczór, głos zabrał nasz obrońca, który powiedział, że jesteśmy ofiarami systemu w jakim się wychowaliśmy... Trzeba mieć na to wzgląd i potraktować nas łagodnie, bo nie wszystko robiliśmy ze złej woli. Winne temu jest burżuazyjne państwo, religia... prosił o 10 lat dla każdego. Sąd udał się na naradę, a nas odwieziono do więzienia.

1 lutego 1941 był drugim dniem procesu i ogłoszenia werdyktu. Skazano czterech z nas na karę śmierci. Czterech, bo do naszej trójki dołączono Włodzimierza Ruszkowskiego, mimo, że prokurator żądał dla niego 10 lat. Stało się tak, bo po wystąpieniu Mariana Łukaszewicza,

29 stycznia 1941 roku na dworze było nieprawdopodobnie zimno, ubrany byłem w samą koszulę, w spodnie pod kolana i jakieś resztki pantofli na gołych nogach. Wsadzili mnie do ciężarowki, w której były takie "przedziałki" dla więźniów. Na zewnątrz było ok. -40°C - dygotałem na całym ciele. Dojechalśmy do Mińska, okazało się, że jesteśmy na jakimś dziedzińcu więziennym. Zaprowadzono mnie do jakichś drzwi, za którymi - gdy się otwarły - był jasny korytarz wysłany dywanami... Żolnierz, który mnie tam prowadził - sierżant NKWD - był uzbrojony. Doprowadzili mnie do drzwi, na których była tabliczka: "Minister spraw wewnętrznych Białoruskiej SR". Myślałem, że to jakaś pomyłka... Oficer zapukał, weszliśmy do ogromnego gabinetu z olbrzymim biurkiem, za którym siedział jakiś człowieczek w szarej marynarce. Na ścianach portrety "wodzów rewolucji": Marks, Engels, Lenin, Stalin. Na środku pokoju stało krzesło przeznaczone dla mnie. Pan zza biurka, w wieku ok. 40 lat, poprosił, bym usiadł. Zapytał, czy zdaję sobie sprawę, za co jestem aresztowany? Odpowiedziałem, że nie. Zdziwił się. Wyjaśniłem, że zostałem aresztowany w swoim własnym kraju i przywieziono mnie tutaj, gdzie nie jestem już u siebie. Mówiłem po polsku - on rozumiał. Ja - mówiłem - dalej - nie rozumiem, dlaczego tak się stało. Odpowiedział: *"dlatego, że przygotowywałeś powstanie przeciwko Związкови Sowieckiemu. Ale popatrz, jaka powstała sytuacja; zdajesz sobie sprawę, jacy my jesteśmy potężni, a was kilkunastu chciało nas rozbić, obalić..."*. Powiedziałem, że nie mieliśmy takich planów i że to nie my przyjechaliśmy do nich, tylko oni do nas. Zapytał wtedy, czy to ja mówiłem w czasie śledztwa, że wkrótce będzie wojna sowiecko-niemiecka i dlaczego tak sądzę? Odpowiedziałem, że jest to dla mnie oczywisty rezultat ich współpracy. Wyjaśnił, że Sowiety są w bardzo dobrej współpracy z Niemcami i napewno wojny nie będzie, a ja się myślę, gdyż porządek w Europie został zaprowadzony i potrwa długie lata. Powiedziałem, że myśmy wcale takiej wojny nie planowali, tylko, że ona wynika z tego co się stało przedtem i że Hitler jest ich największym wrogiem oraz, że kiedyś na nich napadnie. *"Zalóżmy, że tak się stanie - ppowiedział - to po której stronie ty byś wtedy stanął?"*. *"Proszę pana - mówię - ja jestem pańskim więźniem, a pan mi zadaje pytanie, na które ja nic nie mogę odpowiedzieć. Jak pan może pytać kogoś, kto jest w pańskich rękach?"*

Potem rozmawialiśmy o różnych sprawach, np. jak to się w Polsce przed wojną działo... Potem wyciągnął kartkę i zaczął czytać: to było ślubowanie Szarych Szeregów. Zapytał, czy to znam. *"Nie rozumiem, co pan czyta"* - odpowiedziałem (rozmowa przebiegała w języku rosyjskim, chociaż niektóre słowa wypowiadał - niepoprawnie - po polsku.). Stwierdziłem, że słyszę to pierwszy raz. *"Podobno w harcerstwie uczono was, by mówić prawdę"* - powiedział wtedy. *"Naturalnie, ale je nie powiedziałem tu nic, co byłoby nieprawdą"...* Cała rozmowa była dla mnie o tyle przyjemna, że prowadzona była w ciepłym, obszernym pomieszczeniu... Na koniec poinformował mnie, że za dwa dni będzie mój proces. Pierwszy raz dowiedziałem się o terminie rozprawy sądowej, przedtem

zabrał głos właśnie Ruskowski - ten, którego tak bili - wstał i powiedział, że odwołuje wszystko, co powiedział w śledztwie, ponieważ podczas niego był katowany i zeznania jego wymuszono siłą. Wszystko co podpisał było brutalnie wymuszone. Włodek Ruskowski był harcerzem, ale nie był nigdy ani w "Legionach śmierci" ani w Szarych Szeregach.

Myśmy nie skorzystali z "ostatniego słowa" oskarżonych. Uzналиśmy sąd za parodię. Nie mieliśmy, oczywiście, powodów do radości, ale nie bardzo wierzyliśmy w to, że nas rozstrzelają. Zupełnie niesłuszna była ta nasza "wiara", ale to pomagało przetrwać. Byliśmy zresztą przygotowani na wszystko.

Zawieziono nas do więzienia, gdzie zostaliśmy ułokowani w podziemiach, w celi, w której było piekielnie zimno. Biegaliśmy po celi, rozłożyliśmy akty oskarżenia i na tym położyliśmy się na 5 minut, potem znowu zrywaliśmy się i biegaliśmy. Oczywiście zastanawialiśmy się, kiedy nas zaczną rozstrzeliwać. Dakowicz uznał, że jego uznano za przywódcę i że to pewnie od niego zaczną (był najstarszy i najbardziej wykształcony - był studentem prawa...) Gdy siedzieliśmy w tej celi śmierci, przychodziło dużo nowych, różnych więźniów; czasami w celi było 30 -40 osób - wszyscy z wyrokami śmierci. Doszła m.in. trzysobowa grupa oficerów polskiego wywiadu, którzy byli internowani na Łotwie i tam ich aresztowano. Prawdopodobnie byli na tyle naiwni, że się od razu przyznali, że są oficerami wywiadu. Powiedzieli to Łotyszom, którzy ich dobrze traktowali i uspiłi ich czujność. Byli to: kapitan Rusiecki, kapitan Bruner i chorąży Tendorff. Kapitan Bruner był zastępcą szefa wywiadu na Prusach Wschodnich, kpt. Rusiecki był na Kresach Wschodnich. Kiedyś wezwano jednego z tych oficerów, właśnie Brunera. Po śledztwie wrócił bardzo wzburzony: zaproponowano mu współpracę - przejście do wywiadu sowieckiego. Powiedziano mu, gdzie mieszka jego żona - w Warszawie - obiecując, że - jeśli się zgodzi - za tydzień jego żona z córką znajdują się w Moskwie. Rzeczywiście, będąc w Prusach Wschodnich, znał on bardzo dobrze stacjonujące tam armie niemieckie, nawet chyba do kompanii i plutonu. Oczywiście odmówił. Po wojnie znalazł się w Niemczech, po wschodniej stronie, przyszedł z organizacją pracy Todtia. Chorąży Tendorff też znalazł się w Niemczech, ale ja już ich nie spotkałem.

[W celi śmierci siedziałem 100 dni. Kilka dni przed wypuszczeniem mnie stamtąd dowiedziałem się, że zamieniono mi wyrok. Wcześniej, zaraz po procesie przyszedł do tej celi adwokat i podał nam papierek, mówiąc byśmy podpisali prośbę o łaskę do Stalina. Odpowiedzieliśmy: "*paszol won - nam laski nie trzeba*". Natomiast podpisaliśmy podanie o rewizję procesu do Sądu Najwyższego ZSRR.]

Z celi śmierci wywołano mnie i jeszcze 2 innych moich kolegów. Spotkałem ich później na Kołymie. Dakowicza już nigdy potem nie widziałem, nie wiadomo, co się z nim stało. [10 maja 1941 poszedłem na celę ogólną, w ramach przygotowania do transportu. W tej przejściowej celi siedziało jakieś 200 ludzi.] Tam właśnie przyprawdzono mojego

nauczyciela historii ze szkoły powszechnej. Bardzo ucieszyliśmy się z tego spotkania. Dowiedziałem się od niego, że przed samą wojną skończył kurs logiki w Warszawie. Zaraz zaproponował mi jej naukę. Nazywał się Andrzej Misztal, wrócił do Polski z armią Berlinga.

Po dwóch tygodniach, w końcu maja przewieziono nas na stację kolejową i znaleźliśmy się w transporcie na Wschód.

Pamiętam swoje więzienne Boże Narodzenie - takich rzeczy się nie zapomina. Myślę, że we wszystkich chyba więzieniach na świecie, gdziekolwiek Polacy byli, Wigilia wyglądała w podobny sposób. W mojej celi było ok. 30 osób, wszyscy myślami gdzieś bardzo daleko. Ponieważ nie mogliśmy mieć opłatka, to w czasie porannego podziału chleba jedną porcję zaoszczędziliśmy na wieczór, aby potem zamiast opłatkiem przełamać się tym chlebem. Ten moment był bardzo przykry. Szczególnie dotkliwie odczuwały to osoby, które pozostawiły na wolności swoje rodziny, ojcowie małych dzieci, młodzi małżonkowie. Do wieczora panował nastrój przygnębienia, nostalgii, każdy ten czas przeżywał w sobie. Rozmowy ograniczały się do jakichś pytań i odpowiedzi dotyczących samego opłatka. Dopiero po przełamaniu się nim, po złożeniu życzeń znaleźli się tacy, którzy potrafili powiedzieć krótkie przemówienie. W naszych życzeniach na pierwszym miejscu pozostawione były najbliższe osoby, a na drugim sprawa naszej wojny o niepodległość. Ten drugi motyw wybijał się jednak: wszystko to byli więźniowie, którzy trafili tu za swoją postawę (niekoniecznie działalność). Byli tam m.in. ludzie, których "winą" była bardzo chwalebna przeszłość (np. udział w wojnie 1920 roku). W tym momencie nastrój nabrał jakiejś takiej mocy, nie było już szlochania. Nastąpiło to po pierwszej kolędzie. Strażnicy, oczywiście, stukali do drzwi, ale na to nikt nie zwracał uwagi. W innych celach także słychać było śpiew. Strażnicy dostawali szału. Zakończyliśmy kolędą, w której śpiewa się: "Podnieś rękę, Boże Dziecię, błogosław Ojczyznę miłą...". To wywołało największy entuzjazm. Po tej kolędzie zrobiła się już cisza. Nikt nie miał ochoty na rozmowę. Ale na drugi dzień mówiliśmy o tej Wigilii i o innych, dawniejszych. Kryzys został przełamany. (...)

Kiedy mnie wywołano z celi śmierci, to oficjalnie zawiadomiono, że wyrok został zamieniony na 10 lat pobytu na dalekim Wschodzie - potem - 5 lat zesłania. To już nie miało znaczenia: czy 3,5 czy 10 lat, nikt z nas nie wierzył, że może potrwać tak długo. Poszedłem do łaźni - była to moja pierwsza wizyta w tym miejscu po 4 miesiącach i w dodatku w tak spokojnych warunkach, gdyż był tam, zdaje się, jeszcze tylko jeden więzień. Po kąpielii znalazłem się w celi ogólnej. Działały tam różne sekcje: w jednym miejscu był kurs... samochodowy, w drugim mówiono o literaturze, w trzecim fachowcy wojskowi rozważali przyszłe działania wojenne. Jak na warunki więzienne była to egzystencja bardzo żywa. Wieczorami - był wówczas maj były odprowadzane nabożeństwa majowe, w których brali udział wszyscy, oprócz kilku Rosjan, którzy zachowywali się wtedy bardzo cicho.

Wtedy właśnie do naszej celi trafiło wielu Ukraińców. Była taka organizacja ukraińska w wojsku sowieckim - nazywała się "organizacja sierżantów" - która miała walczyć o wolność Ukrainy. Było ich 19-20, byli stacjonowani w ramach wojsk okupacyjnych na Litwie bądź Estonii, pilnowali lotnisk wojskowych. Umyślili sobie, że porwą jeden samolot i uciekną. Jeden z nich zdradził i skazano wszystkich na karę śmierci. Potem ulaskawiono 19, poza tym który doniósł - za to, że zastanawiał się za długo... Potem jechałem z nimi w transporcie. Byli jeszcze w wojskowych mundurach. Wielu zresztą takich ciekawych ludzi spotykało się w drodze z więzienia do miejsca, które miało nazywać się obozem pracy, a było obozem męki i śmierci bardzo wielu.

Droga była bardzo długa, przez całą Rosję, Sybir, później statkiem.

KOLYMA

Wyjechaliśmy w nocy z 27 na 28 maja. Załadowano nas na ciężarówkę i wywieziono nas na bocznicę kolejową w Mińsku, gdzie już stał pociąg towarowy. Do wagonu wpychano po 60 osób. Po obu stronach wagonu były prycze - czyli gole deski. W nocy pociąg stanął w polu i kazano nam skakać z wagonów, z wysokiego nasypu - w nocy to nie było zbyt przyjemne. Dookoła psy, uzbrojeni, krzyczący żołnierze. Kazali nam usiąść. Z tej grupy wywołano mnie i poprowadzono - "w ciemną noc" - do "pullmana" czyli do wagonu więziennego. Są w nim normalne przedziały z półkami do spania, ale zamiast drzwi znajduje się kratka, za którą stoi żołnierz. W przedziale takim nie ma okien. W przedziale do którego mnie wpuszczono, był wielki tłok, z ledwością stałem. Okazało się, że jestem w przedziale recydywistów, bandytów i zbrodniarzy - sowieckich "urków". Tylko, że w przeciwieństwie do tego co pisze Solżenicyn w swoim "Archipelag Gulag", traktowali mnie całkiem dobrze. Nie doznałem z ich strony niczego na co mógłbym się uskarżać. Rano, gdy się obudzili i zobaczyli, że jest ktoś obcy, gdy dostaliśmy śniadanie, zrobili mi miejsce. W przedziale przeznaczonym na 8 osób było chyba 17-20. Jechałem z nimi 20 dni. Dzień w takim przedziale wyglądał mniej więcej tak, że jeden z tych urków opowiadał przeczytane książki - jego specjalnością był Jack London. Opowiadał bardzo interesująco, cisza była kompletna, przerwa była tylko na obiad. Gdy opowiadał bardziej tkliwe momenty akcji, to ci bandyci byli tak bardzo wzruszeni, że płakali. Ale po pewnym czasie jego repertuar się wyczerpał. Kiedy skończył, szukano kogoś nowego, kto by mógł go zastąpić. Urkowie opowiadali o sobie, o swoich napadach, ale to nie było dla nich ciekawe, bo zanli z własnych przeżyć. Oczywiście zapytali i mnie, czy czytałem jakieś książki. Powiedziałem, że tak i zacząłem opowiadać - ale po polsku. Nie mieli nic przeciwko temu. Opowiedziałem im Sienkiewicza. Zacząłem od "Ogniem i Mieczem". Jeśli pamięć mnie zawodziła, musiałem fantazjować, dodawać, ale w sumie jakoś mi się udawało. Potem przeszedłem do "Potopu". Kiedy byłem przy pojedynku Bohuna z Wołodyjowskim, w tym akurat momencie przyszedł

komendant konwoju i wywołał mnie. Oburzyło to bardzo słuchających, którzy bardzo przeżywali losy bohaterów i takie przekleństwa jakie się wtedy na niego posypały - to słyszałem pierwszy raz. Krzyk się zrobił nieprawdopodobny, ale - mimo protestów - zaprowadzono mnie do innego przedziału. Był to przedział trzyosobowy, było nas tam czterech. Jechał w nim Włodek Ruskowski, sierżant sowiecki, który pobił się z oficerem o polską dziewczynę - dostał 8 lat więzienia oraz młody białoruski chłop-morderca; nazywał się Filiponek i był chyba niedorozwinięty. Mnie do spania została podłoga. Później zresztą była rotacja.

Sierżant opowiadał o zwyczajach w armii sowieckiej, o tym, jak weszli na tereny polskie i zobaczyli, że ich propaganda nie wytrzymuje zetknięcia z życiem. 22 czerwca 1941 roku ten sierżant budził się rano i mówił, że miał dziwny sen: śniło mu się, że szedł polem, gdy nadleciał czarny orzeł, który chciał go chwycić w szpony. Zaczęliśmy się śmiać. Ale - ponieważ był on z obsługą w dobrych stosunkach (był bądź co bądź ich człowiekiem) podzielono się z nim wiadomością, że rano rozpoczęła się wojna. Tak dowiedziałem się o wybuchu wojny sowiecko-niemieckiej. Sierżant za wszelką cenę chciał się wydostać z transportu, nie pozwolić wywieźć się na Kołymę i z powrotem dostać do armii. Postanowił więc udać chorobę i krzykiem zwrócić na siebie uwagę, chciał dostać się do szpitala, a stamtąd dalej. Gdy dojeżdżaliśmy do Charabowska, zaczął symulować atak ślepej kiszki - i to mu się udało, zabrano go z naszego transportu.

☐Jechaliśmy dalej, do Władywostoku i stamtąd, z obozów przejściowych w Nachodce przewożono wszystkich okrętami na Kołymę. W obozie przejściowym w Nachodce dowiedzieliśmy się, że jest jakaś umowa pomiędzy rządem polskim a sowieckim. Przewieziono nas barkami na statek, który nazywał się "Dżurma". Miałem tam miejsca na jedną nogę... Wszystkie prycze były zajęte. ☐Stałem obok człowieka, który miał rękę w gipsie, a na nim napisane: Błażejewski. Zagadnąłem go, oczywiście po polsku, ale okazało się, że cokolwiek był Polakiem, ale od 13 roku życia nie miał okazji mówić naszym językiem. Opowiedział mi historię swojego życia: urodził się w Rostowie nad Donem, tam też mieszkał; w latach 30-tych przyszła czystka wśród tamtejszych Polaków, którzy mieli tam nawet swój klub. Aresztowano go - miał wtedy 13 lat - a potem skazano na 3 lata za chuligaństwo. Gdy po odbyciu kary wrócił do - obcego już - środowiska (wszystkich z rodziny w międzyczasie wywieziono) to skazano go na 5 lat za... włóczęstwo. No i wtedy właśnie jechał na Kołymę. ☐Płynęliśmy chyba 3 dni, przepływaliśmy przez Tatarskie Wrota. Było to terytorium japońskie, wobec czego wpędzili nas wszystkich pod pokład, który zakryli plandeką, żeby nikt przypadkiem nie wyskoczył ze statku. Potem, gdy statek dobił do portu w Magadanie, ludzie strasznie chorowali, ja też pod pokładem straciłem przytomność. ☐Spotkałem tam wówczas bardzo ciekawego człowieka. Nazywał się Wiktor Butrym, był prawdopodobnie oficerem kawalerii, przed wojną brał udział w zawodach hippicznych. Był dość silny i to on mnie wydobył spod pokładu. Tych, którzy już nie mogli chodzić, wrzucano po prostu do

sieci rybackiej i tak jak ryby wyciągano na brzeg. Tam ci ludzie dochodzili do przytomności. Potem całą kolumnę popędzili do obozu przejściowego w Magadan. Tam cały dzień staliśmy w kolejce do łaźni. Po wyjściu z niej dostaliśmy czystą bieliznę i więzienne letnie ubranie. Było tam wielu bogatych Żydów z Bukowiny, nieśli ze sobą od statku do obozu, kilka kilometrów, swoje ciężkie walizy. Zostawili je wszystkie przed wejściem do łaźni, strażnik uspokajał, że wszystko dostaną z powrotem. Oczywiście, nic nie dostali. W tym obozie przejściowym było kilka tysięcy ludzi. Karmiono nas w ten sposób, że każdy dostawał drewnianą łyżkę, a co 10 miskę i 10 osób jadło z tej miski... Zresztą, jak później zauważyłem swoich żołnierzy traktowali w podobny sposób.

Pracowałem tam w kopalni, która nazywała się Duskania, co w języku tubylców znaczyło: Dolina Śmierci. Była to kopalnia złota. Wstawaliśmy o 4-tej rano, a wracaliśmy o 10-tej wieczór. Trzeba było dojść na miejsce kilka kilometrów. Baraki były pokryte mchem, tak że jak padał deszcz to woda przeciekała i najbardziej cierpieli ci, co zajmowali górne prycze.

Już w Nachodce doszły informacje o zawarciu układu polsko-sowieckiego. Czyliśmy wtedy bardzo, że będzie to miało jakiś wpływ na nasze losy. Dlatego, gdy po kilku dniach pobytu w łagrze przyszedł do mnie Butrym z propozycją ucieczki, uznałem, że to nie ma sensu. 2 września 1941 roku wywołano mnie i kilku innych z grupy i powiedziano, że idziemy tego dnia do innej pracy - w obozie. Powiedziano nam także, że jesteśmy przeznaczeni do wywiezienia gdzieś indziej. Nikt nie wiedział o co chodzi. Po kilku dniach zaczęto nas wywozić małymi grupami i do początku października dowożono nas - Polaków do Magadanu, znowu do tego obozu przejściowego. Od naszego "gułagu" było to 400 kilometrów. Pierwsze pięć dni w obozie właściwie przespałem. Tam zaczęliśmy prace w porcie i magazynie.

Ale potem przyszło inne zarządzenie i, z powrotem rozesłano nas po obozach. Trafilem do 100-osobowego łagru obok Magadanu. Zbieraliśmy jagody, normą było zebranie dwóch wiader. Traktowano nas tam dużo łagodniej. 10 października wywołano nas i znowu wysłano do Magadanu. Po dwóch dniach wezwano nas do biura, gdzie wypisano nam zaświadczenie o zwolnieniu. Musiałem podpisać zobowiązanie, że nie mam żadnych pretensji materialnych do ZSRR. Mieli mi oddać to, co przed aresztowaniem zabrano, ale dowiedziałem się, że na skutek wojny nie doszło... Mieliśmy wybór miejsca, dokąd chcemy pojechać. Ja, nie znając geografii Rosji, zgłosiłem się do Moskwy. Okazało się jednak, że jest to jedno z pięciu miast zastrzeżonych, do którego nie można jechać. Tak więc wybrałem Omsk - najbliższe miasto od Moskwy. Poczyn 12 października, statkiem, chyba ostatnim przed zamknięciem morza, wypłynęliśmy do Władywostoku.

Okręt, którym płynęliśmy był prawie pusty, było na nim tylko 150 Polaków. Nie mieliśmy żadnego jedzenia. Dano nam co prawda 285 rubli na drogę, ale nic nie można było kupić. Rozładowano nas we Władywostoku. Po raz pierwszy znaleźliśmy się w obozie, gdzie nie było strażników

- było to dla nas niesamowite przeżycie. Dostaliśmy bilety kolejowe, poczym poszliśmy do miasta, na obiad. Tak robiliśmy przez następne dni, ale po kilku dniach już nam przestali sprzedawać jedzenie... Wprowadzono racjonowanie żywności... Czekaliśmy na pociąg do Omska. Pociąg miał jechać 3 doby, jechał 9 dni. Na stacjach kolejowych jedzenie było tylko dla wojska. Mogliśmy dostać jedynie wodę kolonońską - którą Rosjanie wypijali - i gorącą wodę. Obok nas był wagon restauracyjny, gdzie 1 obiad kosztował 15 rubli - nie mogliśmy sobie na wiele obiadów pozwolić. W Omsku doszliśmy do wniosku, że trzeba jechać na południe. Wiedzieliśmy o formowaniu się wojska polskiego, ale nie wiedzieliśmy gdzie się ono tworzy. Według wskazania dyżurnego oficera sowieckiego z Omska, koło Bożego Narodzenia dojechalśmy do Kirgizji, blisko miasta Osz. Rozlokowano nas na różnych kolchozach. Panowała tam wielka nędza. Przyjmowano nas niechętnie, sami ci ludzie nie mieli co jeść. Tam też przeżyłem trzęsienie ziemi: uderzyło mnie coś w głowę i poleciałem. Nie wiedziałem, co to jest...

Dali nam chałupkę, było nas tam około 30 osób, w różny sposób pracowaliśmy. Kiedyś poszedłem do najbliższego miasta, które nazywało się Osz i zobaczyłem idących z butelkami Uzbeków i Kirgizów. Idąc za nimi wykryłem miejsce, gdzie sprzedawano spirytus. Trzeba było mieć własną butelkę - nie było to proste, ale w końcu udało mi się ją zdobyć. To był mój "monopol", którego się nie wyrzekłem. Tak, że moi koledzy pracowali, a ja chodziłem po ten spirytus. Traktowaliśmy go jako środek leczniczy i chyba dzięki temu nikt w naszej grupie nie zachorował na tyfus.

U ANDERSA

W najbliższym mieście nikt nie wiedział o Armii Polskiej w Sowie-tach. Zdecydowano więc, że ktoś musi pojechać do jakiegoś większego miasta. Pojechałem ja i po drodze spotkałem Jerzego Szulca, który podobnie jak ja wyruszył na poszukiwanie informacji. Dowiedzieliśmy się w "wojen-komacie", że niedaleko stamtąd są tworzone oddziały Wojska Polskiego i że musimy się zgłosić po przepustki uprawniające do przejazdu. Wróciliśmy do kolchozu po kolegów, zgłosiliśmy się tam i otrzymaliśmy przepustki.

W końcu dotarliśmy do polskiego wojska, otrzymałem przydział do łączności 9 Dywizjii musiałem odbyć kwarantannę. W okolicy było wiele ludności cywilnej, Polaków. Kwarantanny nie skończyłem, gdyż wcześniej przewieziono nas pociągami nad Morze Kaspijskie. 2 kwietnia 1942 roku wylądowałem w Pahlewi, w Persji, a już 3 maja 1942 została utworzona w Palestynie Dywizja Strzelców Karpackich.

W Palestynie dostałem już pierwszego dnia przydział do szkoły podoficerskiej. Tak więc nigdy właściwie nie byliśmy rekrutami... Byłem w nie najlepszym stanie zdrowia, gdyż wcześniejsze prace w łagrze bardzo nadwyrężyły mój kręgosłup, było to bardzo bolesne. W szkole instruktorami byli żołnierze Brygady Karpackiej, którzy przyjechali z Tobruku.

Byli oni w bardzo dobrej kondycji fizycznej i mieli wobec nas duże wymagania, co nie zawsze było dla nas łatwe - np. ćwiczenia z karabinem. Potem dostałem przydział do kompanii łączności w 2 Brygadzie strzelców Karpackich, która w tym czasie była na przeszkoleniu wysokogórskim w Syrii. Byliśmy w obozie między Bejrutem a Damaszkiem. Ćwiczenia wysokogórskie były bardzo trudne. Prowadzono je w związku z planowanym atakiem przez Grecję i Jugosławię. Okazało się jednak, że na nas jeszcze nie czas i w październiku, wtedy kiedy było Al-Alamein, to tego samego dnia nasz transport dojechał do Kanału Sueskiego. Prawdopodobnie chodziło o stworzenie wrażenia ruchu wojsk. Potem, wzdłuż Kanału, nad Morzem Czerwonym pojechaliśmy do Persji, a następnie przez Zatokę Perską dojechaliśmy do Iraku, gdzie spędziliśmy zimę. Tam mieliśmy bardzo intensywne ćwiczenia. Z Iraku wyjechaliśmy na ostatnie manewry w Palestynie. Stamtąd natomiast pojechaliśmy już na zaokręgowanie pod Aleksandrię.

Nasz transport rozpoczął się w początkach stycznia 1944 roku. Na wyznaczony okręt ładowano nie cały oddział, tylko grupami. Okręt, który mi przypadł został zatopiony, tak więc wypadliśmy z kolejki i musieliśmy czekać przez cały styczeń i luty. Dopiero pod koniec lutego 1944 dotarliśmy do Włoch.

W wojsku nie przestałem być harcerzem. Moją próbę podharcmistrowską odbyłem właśnie na okręcie z Port Said do Basry. Tam spotkałem po raz pierwszy w życiu p. Zygmunta Szadkowskiego, obecnego - od kilku kadencji - przewodniczącego Rady Narodowej RP oraz innego jeszcze harcmistrza - Józefa Brzezińskiego. W naszym plutonie założyliśmy Krąg Starszoharcerski. Takie kręgi istniały w wielu oddziałach.

Harcerstwo powstało jednak już w Palestynie - były tam polskie szkoły, w których działał harcmistrz Ignacy Płonka. W wojsku natomiast były kręgi starszoharcerskie. Władze harcerskie były w Jerozolimie, gdzie powstała Komenda Związku Harcerstwa Polskiego na Wschodzie. Komendantem został Zygmunt Szadkowski (ale kiedy ja go poznałem jeszcze tym komendantem nie był, wracał z Tobruku, miał zostać instruktorem w Szkole Pochorążych Piechoty, która była wtedy w Iraku).

Po lądowaniu we Włoszech od razu pojechaliśmy na front. Było to nad rzeką Sangro. Byliśmy tam do kwietnia, potem rozpoczęliśmy ruch w kierunku Monte Cassino. 11 maja byliśmy już na pozycji. Byłem wówczas dowódcą ośrodka łączności II Brygady Strzelców Karpackich. dowódcą Brygady był pułkownik Roman Szymański. Nas nie trzeba było zachęcać do tej bitwy, chociaż była ona bardzo trudna. Mogę powiedzieć tyle tylko, że z mojego ośrodka łączności przyszedł ten pierwszy raport, że Monte Cassino zdobyte. To była właśnie ta II Brygada Strzelców Karpackich. Zaraz po tym, wsiadłem z moim kolegą do "jipa" i pojechałem do klasztoru, który cały czas zresztą widzieliśmy. Nota bene: jechaliśmy po nierozminowanej drodze - oczywiście nie wiedząc o tym. Rozminowano ją 2 godziny później.

Potem brałem udział we wszystkich akcjach włoskich, aż pozwolono mi odjechać na kurs maturalny. Jeszcze gdy byliśmy nad Adriatykiem wybuchło Powstanie Warszawskie. Ponieważ mieliśmy radiostację w naszym oddziale, to wiadomości z całego świata mieliśmy bardzo szybko - mieliśmy stały nasłuch. Osobiście wybuch powstania przyjąłem z wielkim przynębieniem, bo to nie była oczywiście wieść radosna, choć naturalnie mieliśmy nadzieję, że skończy się ono inaczej. Nikt z nas nie kwestionował ten moment jest w książkach Olgierda Terleckiego - czy ono powinno wybuchnąć czy nie. Nie było wątpliwości, że nie było innego wyjścia.

O POLSKĘ NA EMIGRACJI

Oczywiście odebraliśmy upadek powstania jako ogromną tragedię narodową. Wiedzieliśmy, że jest to już dla nas przełomowy moment i nasz powrót do Polski został zamknięty.

Właściwie już po Teheranie nie mieliśmy większych złudzeń. Myślę, że ta świadomość narastała, że upewnialiśmy się w tym przekonaniu. W międzyczasie przyszła przecież wiadomość o Katyniu. Morale wojska właściwie utrzymywał Anders swoją osobowością, przemówieniami do żołnierzy. Mówił w sposób prosty, zrozumiały, nie owijał w bawełnę, nie obiecywał rzeczy nierealnych. Jego zasługa w utrzymaniu ducha jest ogromna. A która zresztą armia świata zdolna byłaby odkomenderować swych żołnierzy, żeby się uczyli? To była wielka rzecz. Kilkaset ludzi miało okazję ukończyć jakąś naukę.

Wiedziałem wtedy, że niepodległość prędko nie nastąpi. Miałem wtedy 24,25 lat, ale zdawałem sobie sprawę, że to nie jest takie proste i nie rozwiąże się prędko, że będzie to długa droga.

Myślę, że o postanowieniu "nie wracać" zdecydowała atmosfera wśród większości żołnierzy II Korpusu, że myśmy jeszcze swej roli do końca nie odegrali, że jeszcze w tej chwili nie możemy wracać. Zdawaliśmy sobie sprawę z tego, co się w kraju dzieje. Mieliśmy zbyt wiele doświadczeń za sobą, żeby nie wiedzieć co nas może czekać. Właściwie nie pomylił się. Chociaż, gen. Rudnicki, jak Pan go pyta, to mówi, że gen. Anders wspominał o III wojnie, co było złudzeniem. Ja - z myślą o jutrze - organizowałem harcerstwo, jeździłem po obozach dla uchodźców, gdzie powstawały drużyny harcerskie, nawiązywałem z nimi kontakt. Myśmy robili swoje...

Pierwsze lata były bardzo trudne, nostalgia za Krajem była bardzo silna. Zostaliśmy zupełnie sami, większość z nas nie miała rodzin. Co było też o tyle dobre, że człowiek nie musiał się troszczyć o rodzinę. Musiałem sobie w jakiś sposób to życie przygotować. Potem były studia - w obcym języku, w obcym środowisku...

Oczywiście w harcerstwie działałem cały czas, gdziekolwiek bym nie był. Nawet w celi śmierci urządzaliśmy harcerskie ogniska. Życie człowieka nigdy nie idzie jednym torem, musi robić wiele rzeczy jednocześnie. Najpierw trzeba się było przyzwyczaić do życia w Anglii. Poza tym trzeba się było nauczyć języka. Pamiętam, że poszedłszy na studia

przez pierwsze kilka wykładów nie bardzo wiedziałem o czym była mowa. To były studia w szkole handlu zagranicznego. Trzeba też było stworzyć sobie jakieś znośne warunki bytowania. Anglia, była tuż po wojnie, wszystkiego było brak, zarobki były bardzo niskie. Konieczne urządzenie się, zapewnienie sobie codziennego bytu, też zajmowało sporo czasu.

Pierwsza próba zorganizowania młodzieży przybyłej na Wyspy Brytyjskie rozpoczęła się już wtedy, gdy ta młodzież mieszkała z rodzicami w specjalnych obozach, gdzie rozmieszczano Polaków przybyłych do Anglii. Tutaj właśnie powstały pierwsze jednostki harcerskie. Praca była dosyć łatwa, ze względu na to, że wszyscy mieszkali blisko siebie, istniała duża więź. Na tej bazie utworzono szereg hufców, które przetrwały prawie do dziś, także dlatego, że potem ludność polską przesiedlano z obozów w ich okolice, gdzie albo kupowali sobie domy, albo przydzielano im domy miejskie. W Wielkiej Brytanii powstało kilka hufców, które obrazują rozmieszczenie Polaków w tym kraju. Trochę inaczej wyglądała nasza organizacja w Kanadzie, USA czy Australii, bo Polacy tam przybyli na własną rękę szukali miasta i dopiero potem można było ich od początku organizować - wcześniej ich znalazłszy. W Anglii tych kontaktyw nie trzeba było specjalnie szukać.

Myszę, że harcerstwo było na tyle atrakcyjne, że dobrze spełniło swą rolę i oparło się konkurencji krajów osiedlenia, które dawały znacznie więcej niż mogło dać nasze harcerstwo, będące organizacją biedną, która poza zasadami ideowymi i swym programem niewiele więcej mogła dać. Miało natomiast harcerstwo ofiarnych działaczy, instruktorów, którzy potrafili nawet w najtrudniejszych warunkach znaleźć możliwości działania wychowawczego. Czasami powstawały drużyny harcerskie w miejscowościach, gdzie przedtem nie było żadnego większego skupiska polskiego. Gdzie znalazło się trochę Polaków, znalazł się instruktor harcerski. Wychodzi tu rola tych kręgów starszoharcerskich, które mieliśmy w wojsku. Ludzie, którzy tam utrzymywali swój kontakt z harcerstwem, nierzadko pokończyli kursy instruktorskie, byli potem bardzo przydatni w rozwoju harcerstwa w tych krajach. W tej chwili ZHP na obczyźnie obejmuje właściwie wszystkie większe polskie skupiska w świecie - poza Brazylią, która ma dużą bardzo starą emigrację polską, ale emigracji, która mogłaby tam rozpocząć jakąś działalność organizacyjną było bardzo mało. To bardzo trudny kraj do działalności społecznej. Poza tym to jest kraj o ogromnych przestrzeniach, tak że kontakt jest tam bardzo utrudniony. Najlepiej powiodło się nam w krajach anglosaskich, gdzie Polacy stosunkowo szybko dochodzili do wystarczającego stanu majątkowego, pozwalającego przewieźć dzieci własnym samochodem na zbiórkę czy pomóc pieniądze w organizowaniu stałych ośrodków harcerskich, tak jak ma to miejsce w USA, Kanadzie, czy Australii oraz Argentynie, która nie jest krajem anglosaskim i jest dość trudnym terenem, ale tam też udało się coś zorganizować.

Europejskie harcerstwo, poza Anglią, Francją, Szwecją i Austrią, to jeszcze małe jednostki w Niemczech. Problem Niemiec zaczyna narastać

w związku z najnowszą, posolidarnościową emigracją zarobkową, także tą, która się przyznaje do jakiegoś pochodzenia niemieckiego. To jest dla nas zupełnie nowe zjawisko i tego problemu jeszcze nie rozwiązaliśmy. W niektórych miejscowościach są jednostki harcerskie i utrzymują one z nami kontakt, ale można by tam zrobić o wiele więcej, gdyby było więcej osób, które chciałyby się zająć wychowaniem młodzieży.

W poszczególnych krajach działają okręgi. Na okręg składa się Chorągiew harcerek i Chorągiew harcerzy. Razem, wszystkie okręgi, tworzą Związek Harcerstwa Polskiego, który działa poza Krajem. Ma on swoją Radę naczelną, wyłaniającą Naczelnictwo ZHP, z siedzibą w Londynie. Zebrania Rady naczelnej odbywają się co mniej więcej dwa lata i co 6 lat urządzamy Zlot Światowy. Rozpoczęliśmy to w 1969 roku na Monte Cassino, dla uczczenia 25 rocznicy zwycięskiej bitwy. Potem, II Zlot był "na Kaszubach" w Kanadzie. Jest to część Kanady, gdzie osiedliła się ludność kaszubska, nawet urząd pocztowy nosi tam nazwę Kaszuby - mamy tam swoje stacje, wokół których odbył się Zlot. Trzeci z kolei Zlot zwołaliśmy w roku, w którym rozpoczęła się działalność "Solidarność". Liczyliśmy na to, że na ten Zlot będą mogli przyjechać przedstawiciele z Kraju i zrobiliśmy go w Belgii, gdyż wydawało się nam, że jest to tak blisko Polski, że będzie najlepszym miejscem. I to się nam nie powiodło, gdyż w Kraju wprowadzono stan wojenny. Był to rok 1982, rok nastawiony na służbę Polsce, organizowaliśmy akcje pomocy Krajowi, które objęły cały świat. Czwarty Zlot odbył się w 1988 roku w USA, w 100 rocznicę urodzin Andrzeja Małkowskiego, którego zasługą było, że wprowadził harcerstwo do rodziny skautowej i że zasady braterstwa skautowego zostały wprowadzone do naszego prawa harcerskiego. Andrzej Małkowski zresztą działał przez pewien czas w Stanach Zjednoczonych, gdzie próbował stworzyć drużyny skautowe. W Zlocie w Stanach Zjednoczonych uczestniczyli też liczni przedstawiciele z Kraju.

Poświęciliśmy tyle czasu w tym wywiadzie sprawom harcerstwa dlatego, że stawiał Pan takie pytania, a także dlatego, że zawsze uważałem że "takie będą Rzeczypospolite, jakie ich młodzieży chowanie" i dzisiaj od rozwiązania tego problemu zależy przyszłość naszej Ojczyzny.

Niedawno minęła 50 rocznica naszych zmagania o wolność Narodu i niepodległość Ojczyzny. W Europie jesteśmy świadkami przemian, których wynik trudno jeszcze przewidzieć. Ale jest to moment bardzo korzystny dla Polski. Mamy duże możliwości doprowadzenia do pełnej suwerenności naszego kraju. Wymagać to będzie wyrzeczeń i poświęceń całego społeczeństwa, a przy tym woli doprowadzenia do zwycięskiego końca naszej półwiecznej walki, w której ponieśliśmy i ponosimy ofiary. Wierzę, że zaistnieją takie warunki, które pozwolą mi, na Zamku Królewskim w Warszawie, złożyć mój Urząd w ręce najbardziej godnego i wybranego przez naród Polaka.

[Droga wyznaczona nam przez Opatrzność Boską była długa, bardzo długa i trudna - ale i zwycięska.]